

Jak zajmować się Rosją i nie zwariować?

Justyna Prus-Wojciechowska

Co robić z Rosją? Z kim i jak rozmawiać, żeby zrozumieć to, co dzieje się z jej społeczeństwem?

„Memoriał zgłoszony do likwidacji”; »Nowaja Gazieta« dostaje ostrzeżenie od Komisji Nadzoru” – donoszą polskie media jako ważne newsy z Rosji. Tak, są one ważne, ale bardziej dla nas niż dla Rosjan. „Władimir Putin zarzuca Ukrainie łamanie praw człowieka i wychwalanie UPA” – to już bardziej niepokoi dzisiaj Rosjanina, który wierzy, że jego rząd walczy z niesprawiedliwością i szerzącym się na świecie z amerykańskiego przyzwolenia faszyzmem.

„To wy jesteście zaślepieni propagandą” – mówi reporterce TVN rosyjski dziennikarz. „U was, w polskiej telewizji, na pewno nie pokazali, jak ludzie z Majdanu wydłubali oko swojemu przeciwnikowi”. Za to rosyjska telewizja opowiedziała (pokazać coś, co się nie wydarzyło, byłoby trudno, chociaż z drugiej strony – dla chcącego nic trudnego) o tym, jak ukraińscy żołnierze ukrzyżowali w Donbasie małego chłopczyka. Od rana do wieczora trąbi się o gnębionej ludności rosyjskojęzycznej, która w rosyjskiej świadomości została przyrównana do obywateli Federacji Rosyjskiej, do „rodaków”. Propaganda jest tak skuteczna, że nawet sami mieszkańcy południowego wschodu Ukrainy uważają Kijów za najgroźniejszego wroga.

Dziwadła z Kunstkamery

W czasach pokoju, czyli przed konfliktem na Ukrainie, można sobie było pozwolić na komfort iluzji, że niezbyt liczne kręgi „oświeconej” rosyjskiej inteligencji choć w pewnym stopniu były reprezentatywne. Dzisiaj to środowisko, jeszcze bardziej skurczone, nie stanowi miarodajnej próby nastrojów w Rosji. Owszem, ludzie ci mówią tym samym językiem, myślą w podobnych co my kategoriach. Mogą próbować wyjaśnić nam pewne zjawiska, procesy. Ale jeśli w rosyjskiej świadomości istnieją, to tylko w kategoriach wygodnego chłopca do bicia, „zagranicznych agentów” albo „szakali, które żerują pod ambasadami”. Czytajmy więc, póki jeszcze można,

„Nową Gazietę”, szanujmy, podziwiamy, wspierajmy Memoriał i inne organizacje pozarządowe, ale nie zapominajmy, że – choć bardzo byśmy chcieli – to nie one mają dzisiaj w Rosji swojego „pięć minut”. I wszystko wskazuje na to, że długo jeszcze nie będą mieć.

Od oglądania rosyjskiej telewizji państwowej bolą zęby. Ale oglądać trzeba, bo w ten sposób chyba najbardziej można poczuć świat, w którym żyją dzisiaj Rosjanie. W telewizyjnych programach publicystycznych, gdzie prokremlowscy uczestnicy prześcigają się w demonstrowaniu „postaw propaństwowych”, oponenti pojawiają się z rzadka i raczej odgrywają rolę dziwadła – prawie jak wyjętych z Kunstkamery – niż równoprawnych uczestników.

Pierwyj, Rossija 24, NTV, „Komsomolskaja Prawda” to zarazem miejsca, gdzie wykuwa się rosyjska wizja świata, jak i odbicie tamtejszego społeczeństwa. Media państwowe są bezcennym źródłem wiedzy o Rosji, pod warunkiem że nie traktuje się ich jako media. To przedsiębiorstwa, które są przekąźnikiem państwowej ideologii albo przynajmniej jakiegoś zbioru pomysłów na ewentualną ideologię. To zwierciadło, w którym odbijają się zwykli Rosjanie i przyswajalne dla nich spojrzenie na świat.

Od oglądania rosyjskiej telewizji państwowej bolą zęby. Ale oglądać trzeba, bo w ten sposób można poczuć świat, w którym żyją dzisiaj Rosjanie.

Dobrym źródłem informacji są media ekonomiczno-polityczne, czyli „Wiedomosti” i rosyjski „Forbes”. Parę miesięcy temu rosyjski znajomy powiedział mi, że „istnieją jeszcze tylko dlatego, że nikt ich nie czyta”. Taki żarcik epoki „Krym-jest-nasz”, który jednak szybko stracił swoją aktualność. Nowa, przyjęta przez Dumę w ekspresowym tempie i właśnie podpisana przez prezydenta, ustawa o ograniczeniu zagranicznej własności mediów może oznaczać poważne kłopoty dla obu tytułów. Przykład prezydenckiego doradcy ekonomicznego Siergieja Głazjewa pokazuje, że mogą oczywiście istnieć w XXI wieku różne ekonomie i pomysły typu „odczepmy rubla od dolara” i „odizolujmy się od Zachodu, bo konkurencja zabija naszą gospodarkę” wcale nie muszą być egzotyką. Niemniej jednak w Rosji ciągle jeszcze jest obecny zagraniczny kapitał, dla którego język rzetelnej analizy jest bardziej zrozumiały niż sowiecki bełkot Głazjewa. A sam Władimir Putin zapowiedział ostatnio, że Rosja „nadal będzie działać na rzecz poprawy klimatu biznesowego”. W związku z tym dobijanie gazet, które dają jakieś pojęcie o tym, co dzieje się z rosyjską gospodarką, a przez jej pryzmat – również i polityką – może się wydać nadmierną brawurą. Co będzie, to czas pokaże, a na razie warto na pewno zaglądać do obu tytułów.

Bieg bez sterydów

Ciekawą i potrzebną lekturą są badania opinii społecznej. Dla rosyjskich władz są ważne, bo służą jako źródło legitymacji. Oto, proszę, działania Władimira Putina popiera 84 procent Rosjan. I to w zasadzie wyczerpuje temat. Gdyby dzisiaj odbywały się wybory, Putin wygrałby w cuglach – tak przecież wynika z sondaży. Rosyjski prezydent jest więc władcą w każdym calu demokratycznym, bo popiera go większość – tego argumentu używa się zarówno w Rosji, jak i na Zachodzie, by zamknąć usta tym przeklętym rusofobom, którzy zazdroszczą Putinowi jego popularności. Sondaże mają to do siebie, że interpretując rzeczywistość, jednocześnie nieco ją upraszczają. Owszem, dowiemy się z nich, że Władimir Putin wygra każde wybory, w jakich wystartuje, ale nie dowiemy się, dlaczego. „Proszę sobie wyobrazić wyścig, gdzie zdrowy, muskularny biegacz staje na starcie obok kobiety w ciąży i inwalidy bez nogi” – obrazowo tłumaczył to niedawno politolog Nikołaj Pietrow. Oczywiście bieg jest uczciwy, a biegacz nawet (!) nie bierze żadnych sterydów. I wygrywa. No kto by się spodziewał?

Na temat rosyjskich sondażowni opinie są różne. Niektóre, jak Centrum Analityczne im. Juriija Lewady, mają nieposzlakowaną opinię. Inne, jak państwowy WCIOM, są traktowane z pewną ostrożnością. Ale, co do zasady, stanowią ważne źródło informacji o stanie społeczeństwa.

Rosyjski prezydent jest władcą w każdym calu demokratycznym, bo popiera go większość – tego argumentu używa się w Rosji i na Zachodzie, by zamknąć usta rusofobom.

Środowiska eksperckie to kolejny temat. Pewnie to вина uprzedzeń, ale ostatnimi czasy mam wrażenie, że i w rosyjskiej analizie politycznej coraz więcej jest wewnętrznej „dyscypliny” i nadszkakiwania Kremlowi. Czasem bardziej dyskretnego, czasem mniej. Gdy

nazywający się politologiem deputowany Siergiej Markow opowiada dyrdymały, mało kto się tym przejmie czy oburza, nikt nie traktuje go poważnie. Inaczej jest jednak, kiedy szanowany szef rosyjskiego Centrum Carnegie Dmitrij Trenin ostrzega Zachód przed drażnieniem Rosji na Ukrainie, bo to może ją zmusić do użycia broni atomowej i sprawić, że losy świata zawisną na włosku.

Cenię wielu rosyjskich analityków i specjalistów, zwłaszcza tych, którzy w trudnych czasach potrafią zachować przyzwoitość. Co do nazbyt krzykliwych kremlowskich apologetów mam jednak mieszane uczucia i, jakkolwiek jestem w stanie zrozumieć fascynację osiągnięciami rosyjskiego prezydenta, to muszę przyznać, że często owi specjaliści wykazują niestrawny dla mnie poziom cynizmu. Podczas pewnej konferencji pewien bardzo miarodajny, a więc mocno

prokremlowski i antyzachodni politolog przekonywał pozostałych uczestników o tym, jak wspaniałym krajem jest Rosja. I jak gardzi Zachodem, oczywiście. Pół godziny później opowiadał mi, że w Rosji nie da się żyć, a gdy jego żona zaszła w ciążę, natychmiast wysłał ją za granicę, bo „u nas nie można rodzić jak człowiek. Przez całą ciążę proponują ci aborcję. Żona nie mogła znieść takiego traktowania. Załatwiłem jej poród w Berlinie”.

Czasem, w masochistycznym porywie, zaglądam do gazety „Zawtra” naczelnego stalinisty Aleksandra Prochanowa. Opłakując upadek ZSRR, nie porzucił swych ideałów i czekał na swój dzień. I oto dzień ten nastąpił, a Prochanow dorwał się w końcu do głosu. W imię Stalina porywa rodaków do walki z „czarną spermą faszyzmu”, która zalewa Ukrainę. Jego pismo jeszcze niedawno nazywało się „Gazetą Duchowej Opozycji”. Dzisiaj jest już „Gazetą Państwa Rosyjskiego”. Nie należy również zapominać o całej serii portali spod znaku Noworosji i Rosyjskiej Wiosny. Można tam wyczytać niezwykle pouczające rzeczy. „Paradoksalnie obecne »zamrożenie« sytuacji potrzebne jest Moskwie właśnie po to, by ją »podgrzać«. Podgrzać na prawej stronie Dniepru. Ponieważ kontynuacja działań bojowych na Ukrainie jest nieunikniona (!), podejrzewam, że pod przykrywką rozmów pokojowych toczą się tajne działania mające na celu rozhuśtanie sytuacji na zachodzie kraju” – pisze publicysta Noworosji na portalu „Russkaja Siła”. Na tym tle gazeta „Wzгляд”, regularnie publikująca teksty Aleksandra Dugina, kolejnego rosyjskiego „bohatera naszych czasów”, wygląda zupełnie niewinnie.

Na Zachodzie rozwinął się cały nurt „rozumiejących Rosję” i w ślad za Kremlem domagający się od całej reszty świata „zrozumienia rosyjskiej wrażliwości”.

Wrażliwość

Profesor Karol Modzelewski, wielki autorytet w sprawach Rosji, zarzuca Polakom w niedawnym wywiadzie dla „Newsweeka” brak zrozumienia dla rosyjskiego myślenia, według którego mocarstwowa logika wymaga, by Ukraina znajdowała się w rosyjskiej strefie wpływów, Krym jest rosyjski, a Zachód, nie zgadzając się z tym, narusza niepisaną rozmowę z Moskwą: „wchodzi na pole, które miało pozostać w rosyjskiej strefie wpływów”. I rzeczywiście w taką wizję świata wierzy większa, przytłaczająca część rosyjskiego społeczeństwa.

„Dla ludzi w Rosji, zwłaszcza starszych, rozszerzenie NATO to tak, jakby po wojnie światowej Niemcy zaczęli budować ekspansywny blok militarny” – tłumaczy rosyjski politolog. „Ukraina to nie państwo, nie wiem nawet, jak to nazwać, to jakiś twór” – mówi młoda Rosjanka.

Na Zachodzie rozwinął się cały nurt „rozumiejących Rosję”, w ślad za Kremlem domagający się od całej reszty świata „zrozumienia rosyjskiej wrażliwości”. Argumenty w rodzaju „Ukraina nie może być niepodległa, bo Rosja boi się NATO”, „to wina Unii, że zaproponowała Kijowowi umowę stowarzyszeniową, nie trzeba było prowokować Rosji” – brzmią dziwnie. To tak, jakby nagle sąsiad wtargnął do mieszkania i zajął jeden pokój, tłumacząc, że potrzebuje go, bo tak się bezpieczniej czuje. Z jakiegoś powodu ci wyczuleni na „rosyjską wrażliwość” w ogóle nie widzą potrzeby, by Rosja choć trochę wczuła się w tę wrażliwość, która obowiązuje poza jej granicami.

„Rozumienie cudzych racji nie oznacza przyjęcia ich za swoje, chociaż łagodzi temperaturę konfliktu” – mówi profesor Modzelewski. I ma rację. „Rozumieć” i „akceptować” to dwie różne rzeczy. Musimy rozumieć to, co się dzieje w Rosji, chociażby dlatego, że potencjalnie jest to dla nas groźne. Akceptować tego nie możemy, bo dzisiejsza rosyjska wizja świata podważa wszystko, na czym zbudowaliśmy swój świat. 🏰

Justyna Prus-Wojciechowska jest publicystką, pracuje w Polityka Insight.